

Jerzy Swoboda

Arkady Fiedler w Zelowie i inne wspomnienia...





Gazeta Kulturalna

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

MIESIĘCZNIK - PISMO KULTURALNO - LITERACKIE - ŻELÓW
ISSN 1734 - 3240 UKAZUJE SIĘ OD 1996 ROKU

2023



Jerzy Swoboda



Arkady Fiedler w Zelowie i inne wspomnienia

Od tego wydarzenia mijają
właśnie 74 lata. W
ówczesnych warunkach,

zaledwie 4 lata po wojnie, była to duża sensacja – pierwsze w ogóle spotkanie znanego pisarza i podróżnika z czytelnikami w małej miejscowości – oficjalnie Zelów był wsią rządzoną przez wójta. Doszło do tego w niecodziennych okolicznościach zaaranżowanych przez trzech uczniów siódmej klasy, którym zaufali wychowawca klasy Wilhelm Najman i dwaj kierownicy szkół – „jedyński” Antoni Kozarzewski i „dwójki” Tomasz Mastej, dysponent sali w tzw. baraku.

Była wiosna 1949 roku. W „Dzienniku Łódzkim” znalazłem wiadomość, że redakcja patronuje spotkaniom autorskim Arkadego Fiedlera z czytelnikami w Łodzi i okolicznych miejscowościach. Ponieważ znałem już kilka jego książek, nie tylko głośny „Dywizjon 303”, pomyślałem, że warto zaprosić go także do Zelowa. Tylko jak to zrobić? Rozmawiałem o tym z



najbliższymi kolegami z klasy – Zygmuntem Wejmanem i Jurkiem Michalskim. Poszliśmy do wychowawcy klasy p. Wilhelma Najmana, który poparł nasz pomysł i obiecał, że jeśli rzecz okaże się realna, pomoże nam i poprze. Ojciec naszego kolegi klasowego, dr Włodzimierz Łuczyński – posiadacz telefonu! – na naszą prośbę ochoczo zasięgnął języka u organizatorów w sprawie kosztu, terminu itp. Nie pamiętam szczegółów, ale po naradzie z wychowawcą doszliśmy do wniosku, że przy około 250 uczestnikach cena biletu nie będzie zbyt wysoka, co pozwoli zebrać kwotę wystarczającą na honorarium. Pan Najman rozpoczął podchody do p. Kozarzewskiego, który dał się przekonać pod warunkiem, że kierownik „jedynki” udostępni salę w „baraku”. Zgodę uzależnił od znalezienia paru groszy dla woźnych za przygotowanie sali i sprzątanie.

Po uzgodnieniach na miejscu i skalkulowaniu kosztów – znów z pomocą dra Łuczyńskiego – „zaklepaliliśmy” termin (9 czerwca, po południu): namalowaliśmy dwa afisze na bristolu (jeden do drogerii p. Olszewskiego), drugi gdzieś do Rynku. Bilety zrobiliśmy z zeszytu, dziurkując kartki zębatym kółkiem. Na każdym bilecie był kolejny numer i pieczętka szkoły. Sprzedaż i kasowanie nadzorował jeden z nauczycieli.



Spotkanie wywołało szerokie zainteresowanie, nie tylko młodzieży szkolnej i nauczycieli, lecz także licznych dorosłych. Zebrane pieniądze wystarczyły na honorarium i opłacenie woźnych, a także na kwiaty i lemoniadę (innych napojów wtedy nie było), o czym na szczęście pamiętała jedna z pań nauczycielek, bo młodocianym organizatorom nie przyszło to na myśl. Podobno po spotkaniu ktoś z miejscowych „notabli” zapraszał gości na poczęstunek, ale ze względu na późną porę nie skorzystali.

Pan Fiedler barwnie opowiadał o swoich podróżach przed wojną, lecz głównie o swoim pobycie wśród polskich lotników służących w Dywizjonie 303 podczas tzw. Bitwy o Anglię wiosną 1940 roku i o pisaniu książki. Jej pierwsze wydanie po polsku ukazało się w Anglii w 1942 roku, a rok później pierwsze podziemne w okupowanej Polsce (w sumie były cztery – trzy przez Tajne Wojskowe Zakłady Graficzne w Warszawie, jedno w Kielcach). Jeszcze przed końcem wojny książka została przełożona na kilka języków obcych.

W 1948 roku pan Fiedler odbył pierwszą po wojnie podróż do Meksyku, książka o niej ukazała się później. Kilka wznowień książek wydanych przed wojną można było nabyć podczas spotkania.



Po prelekcji p. Fiedler poprosił o pytania. Najwięcej dotyczyło „Dywizjonu 303”. Ze względu na barwne opisy działań polskich lotników podczas kilku tygodni Bitwy o Anglię i – mimo upływu lat – utrzymującej się aktualności wspomnień wojennych, był ciągle czytany. Niezawodna pamięć mojej siostry Blanki utrwaliła pytanie jednej z pań z ówczesnej zelowskiej elity: czy Mulatki są naprawdę takie piękne i pociągające. Niestety, odpowiedź nie została zapamiętana, a magnetofonów jeszcze nie wynaleziono...

Na zakończenie spotkania ustawiła się kolejka po autografy, licząca na początku ponad 30 osób. Cierpliwie czekałem prawie do końca, nim zdobyłem się na odwagę i poprosiłem o „specjalną” dedykację. Pan Fiedler podniósł głowę i brwi i zapytał: – Dlaczego? Uprzedził mnie jeden z kolegów i powiedział z lekkim przekąsem: – A bo to jest organizator. Pan Fiedler wykazał zrozumienie i spełnił moją prośbę.

W nie mniejszym stopniu zasługują na pamięć moi koledzy współorganizatorzy. Jurek Michalski po maturze w Liceum Pedagogicznym w Zgierzu ukończył AWF i przez wiele lat był nauczycielem WF w zgierskich szkołach, z kilkuletnią przerwą na kierowanie Wydziałem Kultury Fizycznej w miejskim Inspektoracie Szkolnym. Po przeprowadzce do Rumi (żeby być bliżej córki, która po studiach tam osiadła), nadal aż do emerytury uczył WF. Zmarł w 2020 roku.



Jurek, podobnie jak duża część powojennych roczników młodzieży, był „przerośnięty”, szkołę powszechną kończył z dwuletnim poślizgiem. Rozpierała go energia, także pod względem sportowym, w domu i w szkole. Na tyłach jego domu przy ul. Kilińskiego, bliżej Zelówka, znajdowały się szerokie pasy czegoś, co kiedyś było lasem, z rzadka porośnięte samosiejkami sosen i brzoź, różnymi krzewami i wrzosem. Tam urządził sobie rzutnię kulą, czyli okrągłym kamieniem, skocznię wzwyż, a także próbował rzucać własnoręcznie wystruganym oszczepem.

Naszą szkołę udawał budynek z lat dwudziestych, przy ulicy Szkolnej. Znajdowały się w nim cztery sale lekcyjne dla starszych klas, a na poddaszu pokój nauczycielski i jednoizbowe mieszkanie woźnego. Ubikacja na podwórku, a za boisko służyło klepisko sąsiedniej posesji. Na tym klepisku kopaliśmy piłkę (jeśli akurat była) oraz graliśmy w „dwa ognie” lub w palanta (zużytą piłką tenisową). Z inicjatywy Jurka powstało boisko do siatkówki. Siatkę (lub piłkę) zafundowała nam szkoła – na tyle było ją stać. Na piłkę (lub siatkę) pieniądze zarobiliśmy sami sprzedając podczas dużej przerwy słodkie bułki z piekarni p. Kędzierskiego (róg Kilińskiego i Żeromskiego). „Szefem” handlu – z bardzo małym narzutem – był Zygmunt Wejman. Słupki dostarczyli bracia Lipińscy z Pożdżenic. Niestety, pierwsza piłka była z bardzo kiepskiej skóry, po kilku pierwszych grach zaczęła się rozsypywać. Nie pamiętam, skąd wzięła się następna, znacznie lepsza i trwalsza.



Kolejnym współorganizatorem przyjazdu do Zelowa Arkadego Fiedlera był Zygmunt Wejman, wspaniały i serdeczny kolega, zawsze pogodny i wesoły, pełen najróżniejszych pomysłów. Podobno także po różnych przejściach wojennych i powojennych. Ich powody mogły mieć związek z okresowym ukrywaniem w czasie wojny przez jego rodziców pewnej Żydówki, zanim przedostała się do Generalnej Guberni. Jak było naprawdę, nie wiadomo, chociaż są przypuszczenia, że ten fakt miał wpływ na powojenne represje, którym poddano ojca Zygmunta, Adama. Dla mnie jest to tym bardziej zagadkowa sprawa, że do lata 1949 roku bywałem bardzo często w domu państwa Wejmanów i spotykałem pana Adama.

Moje wspomnienia ze spotkań z rodziną Wejmanów mają jeden wyróżnik: podziw dla ojca Zygmunta. Nazwanie go „złotą rączką” to tak, jakby nie powiedzieć nic o jego umiejętnościach. Na posesji znajdowały się różne urządzenia, m. in. maszyny do wytwarzania kasz z jęczmienia, łuskania gryki, prosa itp. Prawdopodobnie część z nich była według pomysłu pana Adama i przez niego wykonana; szkoda, że opatentowanie było niemożliwe. Na strychu domu mieszkalnego było jeszcze jedno czynne urządzenie w jego wykonaniu: gręplarka do wełny. Cała konstrukcja zawierająca przeniesienie napędu z silnika na kilkadziesiąt wałków o różnej średnicy i prędkości obrotowej, obitych specjalną taśmą z metalowymi haczykami do rozrywania i czyszczenia owczej strzyży – budziła mój niekłamany podziw. Na końcu tej „linii produkcyjnej” o szerokości około pół metra i długości ponad dwa metry, składającej się z kilkadziesiąt równoległe rozmieszczonych wałków, wychodził płat przedziwa przypominającego krawiecką watolinę, lepka z powodu dużej ilości lanoliny pokrywającej włókna, o specyficznym zapachu.



Zygmunt nie miał szczęśliwego życia. Wrodzona wada kręgosłupa sprawiła, że po trzydziestce zaczął się pochylać, omalże do kąta prostego. Zmarł w 1974 roku w wieku 41 lat.

Wspomniałem, że spotkanie z Arkadym Fiedlerem odbyło się w baraku. Skąd on się wziął na części targowiska ze zwierzętami (świński rynek), przylegającej do terenu szkoły nr 1?

W 1944 roku Niemcy postawili kilka baraków z drewnianych prefabrykatów na obrzeżu lasów zaraz za ulicą Piotrkowską. Zamieszkali w nich przymusowi robotnicy, których zwieziono do kopania rowu przeciwczołgowego (jeden z bardziej idiotycznych pomysłów niemieckich strategów). Taki rów w obrębie Zelowa zaczynał się na granicy pola-las, w pobliżu istniejącej wtedy wieży triangulacyjnej (zwanej potocznie patrolką) i – skośnie w stosunku do układu pól – miał się kończyć między ulicami Wolności i Piotrkowską, w pobliżu cegielni Frezewitte'a. Najgłębiej wkopano się pod ulicę Wolności, resztę ledwo rozgrzebano.

Nim w styczniu 1945 roku nadszedł front, robotników wywieziono, a wkrótce po tym miejscowi zajęli się rozkradaniem wyposażenia i rozbiórką baraków. Przypuszczam, że ktoś przytomny w ówczesnych władzach (ciagle był rok 1945) postanowił wykorzystać elementy baraków (z rozbiórki lub zwiezione na budowę, lecz nie wykorzystane) do zbudowania baru złozonego ze ścian z oknami, z podłogą, lecz bez ścian wewnętrznych, ale z podwyższeniem na scenę. Mimo że od lutego 1945 roku do czerwca 1946 roku chodziłem do tej szkoły, nie pamiętam samej budowy, natomiast doskonale pamiętam nauczyciela Wilhelma Engla, który przez wiele tygodni (chyba w 1946 roku) malował farbami olejnymi na tylnej ścianie sceny olbrzymi obraz (około 2,5-3 m na 8-10 m), który przez wiele lat był tłem dla tego, co się na scenie działo.



Na środku obrazu była rosochata samotna sosna, z jednej strony pola z rzędem mendlu zboża, z drugiej jakieś zagajniki, polna droga, miedze. Pan Engiel uczył mnie w klasie czwartej i kiedyś, gdy przyglądałem się jego pracy poprosił, żebym mu przywiózł farby z drogerii pana Olszewskiego.

Od jesieni 1946 roku zmieniłem szkołę na „dwójkę”, trzy lata później przeniósłem się do Pabianic, potem do Łodzi. W Żelowie byłem gościem i nie śledziłem, co się działo z barakiem. Podobno był też zastępczą salą gimnastyczną, potem czymś w rodzaju świetlicy. Jaki był jego koniec? Nie wiem, ale myślę że starsi mieszkańcy Żelowa mogliby tę wiedzę uzupełnić.

Opisane wydarzenia, z punktu widzenia młodzieńczych przyjaźni, mają raczej pesymistyczną wymowę. Ukończenie klasy siódmej dla wielu z nas oznaczało zasadnicze zmiany życiowe. Szkolnictwa na poziomie średnim jeszcze w Żelowie nie było, dopiero tworzono zręby Zasadniczej Szkoły Zawodowej o profilu tkackim i mechanicznym. Żeby myśleć o maturze ogólnokształcącej, trzeba było wyjechać. Pięciu z nas (Janek Pospiszyt i Włodek Włodarczyk z „jedynek”, Janusz Kuliński, Włodek Łuczyński i ja z „dwójki”) wylądowaliśmy w ogólniaku im. Jędrzeja Śniadeckiego w Pabianicach. Przez cztery lata nauki mieszkaliśmy na stancjach wyszukiwanych przez rodziców, ponieważ internat dla uczniów ogólniaka zlikwidowano tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego. Przez cztery lata byliśmy razem, dwóch z nas pełniło nawet funkcję gospodarza klasy (z wyboru). Po maturze czterech dostało się na różne kierunki na Politechnice (Włodek Ł. szukał miejsca na medycynie). Przez całe studia mieszkaliśmy w tym samym akademiku, co znakomicie ułatwiało



podtrzymywanie zelowskich więzi, nawet do późnej starości. Do dzisiaj (piszę to w czerwcu 2023 roku) mam kontakt z Włodkiem Włodarczykiem mieszkającym w Cieszynie. Niech ten fakt będzie symboliczną klamrą łączącą rok 1945 (w lutym spotkaliśmy się w tej samej klasie trzeciej, której wychowawczynią była pani Maria Kielczewska) z dniem dzisiejszym – 23 czerwca 2023 roku. Co wydarzy się w następnych dniach i latach. Ale to zobaczą już inni...

29.06.2023

Jerzy Swoboda

Powyższy tekst spisał Jerzy Swoboda, urodzony 12 maja 1934 roku, syn Mileny z Matejków i Jana Swobody. Emeryt od 1994 roku. Żelowianin.



Świetlica szkolna w poniemieckim baraku. Rok 1949.



ARKADY FIEDLER Wybitny pisarz i podróżnik Arkady Fiedler ur.28.11.1894 w Poznaniu - zm.7.03.1985 w Puszczykowie. Był synem Antoniego Fiedlera, znanego poznańskiego poligrafa i wydawcy. On to właśnie ukształtował osobowość młodego Arkadego, rozbudził w nim namiętne zainteresowanie przyrodą. "Uczył mnie kochać rzeczy takie, obok których inni ludzie przechodzili obojętnie" - wspomni później pisarz o swym ojcu.

Po ukończeniu szkoły realnej w Poznaniu, studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim filozofię i nauki przyrodnicze. Studia przerwała I wojna światowa. W latach 1918-19 brał udział w powstaniu wielkopolskim i należał do Polskiej Organizacji Wojskowej.



Gazeta Kulturalna

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

MIESIĘCZNIK - PISMO KULTURALNO - LITERACKIE - ŻELÓW
ISSN 1734 - 3240 UKAZUJE SIĘ OD 1996 ROKU

2023

